

Lech Witkowski

Między tragizmem, śmietnikiem i pychą : próba odpowiedzi moim Znakomitym Polemistom

ER(R)GO. Teoria–Literatura–Kultura nr 1 (26), 205-217

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Między tragizmem, śmietnikiem i pychą.
(Próba odpowiedzi
moim Znakomitym Polemistom)

Znakomici Polemiści, Panowie Michał i Wojciech Kruszelniccy, sprawili mi prawdziwy zaszczyt, o jakim autor książek może tylko marzyć, skoro pochylili się nad moimi tekstami i postanowili spędzić nad nimi sporo czasu, a potem jeszcze uznali za warte zachodu wspólne myślenie, a następnie i rozmowę, najwidoczniej zakładając, że jest o co się spierać w kategoriach innych przecież niż wykazywanie racji, wyższości czy dobrego samopoczucia. Pytania i zastrzeżenia, jakie sformułowali należą do najwyższego kalibru i sięgają najniższych nawet niuansów, jakie pozostają poza percepcją kogoś, kto nie umie nie poddać się urokowi, prowokacji czy objętości (to też „kaliber”) oddziaływania. Długo odraczałem zmierzenie się z tym wyzwaniem pytań, jakie wygenerowała lektura moich książek, zwłaszcza tych o autorytecie, wiedząc że i tak ich nie uniknę, a nawet że to w tych pytaniach jest zawarta szansa na powrót do życia samej myśli i do spojrzenia na siebie oczyma Innego, z drugiej strony granicy. Ufam więc, że niektóre moje uwagi, których wygenerowanie przez dociekliwych rozmówców już mi dało coś ważnego (poza konwencjonalnym zyskiem „ubogacenia”), zwrótnie pozwolą cofnąć się przed zarysowanym obrazem polemiki, aby można było jeszcze raz spojrzeć na ten obraz i się zastanowić nad tym, co właściwie widać i co z tego wynika dla nas. Część odpowiedzi stanowi mój tekst w tym numersze *Er(r)go*, pt. „Autorytet i wartości u stóp”. Zasadnicze jednak dopowiedzenia wymagają postępowania zgodnie z rytmem uwag moich znakomitych Kolegów akademickich

Potrzeba nowego uniwersalizmu „wielkości ducha”

Czy ja wierzę w mit „jednostki wyróżnionej, wyposażonej w głębsze widzenie świata”? Czy chodzi mi o ukierunkowanie w stronę jednej prawdy? Otóż nie chodzi mi o tradycyjny uniwersalizm. Nawet obecny w tytule książki o semiotyce Bachtina „uniwersalizm pogranicza” traktuję jako uniwersalność sytuacji, szans na spojrzenie z drugiej strony (choćby i lustra Alicji w krainie czarów), powtarzalność wyzwań i trudności, a nie obietnicę powszechnej odpowiedzi, zobowiązującej mimo, że nie uznanej. Ja raczej postuluję wysokie minimum bycia człowiekiem, czy raczej troski o bycie człowiekiem. I sam go nie wymyśliłem, ale odkrywam

u dźwigających los Hioba, skazanych na włóczęgę Odysei, czy trud Syzyfa nie łudzącego się, że kiedyś mu się uda wtoczenie kamienia. Nie chodzi mi o to, aby wieść ludzi do jakiejś jednej prawdy, ale o to, aby korzystając z wysiłku innych budować sobie zręby swojej prawdy, z czujnością aby nie była za łatwą, wygodną fikcją, czy bolesną uzurpacją nie umiejącą weryfikować swych praw. Stąd inni, „wielcy duchem”, nie dają nam kierunku ani dostępu do prawdy, ale impulsy w ucieczce od łatwych wygodnych i poręcznych, wręcz uwodzących fałszów. Dziedzictwo symboliczne nie jest rezerwuarem wskazówek dotyczących tego, jak dobrze żyć, ale przestrzenią pereł, bywa pokrwawionych cierpieniem, z których można sobie dopiero nanizac sznur koralu, które mają szansę coś w nas obudzić, a nie ogłaszać jednej prawdy. Dla mnie „Wielkie Duchy” to nie są ci, którzy wiedzą lepiej, ale ci głównie, którzy zostali bardziej (więc gorzej, głębiej) doświadczeni przez los, przez co lepiej znają to co stanowi gorszą stronę naszego bycia w świecie, bliscy szaleństwa albo rezygnacji. Chcąc wiedzieć więcej o życiu, trzeba głębiej w oczy zajrzeć śmierci, upokorzeniu, samotności i pustce, rozpaczy i beznadziei. Wielkie Duchy bardziej otarły się o tajemnicę, nędzę i złożoność ludzkiego świata, nawet mogą mniej być pewne, bo pewność to pycha głupców, tak samo jak zadowolenie z własnego wykształcenia to skaza najgorzej wykształconych. Zapewne owo lepiej „wielkich duchów” polega na tym, że miały dostęp do większej liczby sprawozdań z ludzkiego losu.

Świat ducha to nie jest nic, co nam coś obiecuje, jako zbawienie, ale co uczestniczy w pochylaniu się nad losem podobnych jak my, co widziało nasze przekleństwa i pokazuje, jak ktoś sobie z nimi radził. Pamięć symboliczna tekstów nie musi stanowić skarbnicy rozwiązań ale może nieść dramat pytań i dylematów, odsłaniając wspólnotę uczestnictwa w przekleństwie i doświadczeniu zła oraz nawet beznadziejnych prób buntu wobec niego. To jest jedynie ratunek przed poczuciem, pysznym w swoim narcystycznym wyróżnieniu, że los, Bóg, czy przypadek, naznaczył mnie jakimś wyjątkowym cierpieniem, za które nam się coś należy. Cokolwiek człowieka doświadczy, nie jest wyjątkowe, ale ma już wiele gorszych nawet wcieleń. Człowiek nie jest wybrańcem Boga niczym Hiob, ale typowym przykładem testowania jego człowieczeństwa przez codzienność. Otóż okazuje się, że wielkim odkryciem dla człowieka może być, nawet obraźliwe stwierdzenie, że w swoim cierpieniu nie jest wyjątkowy, mimo że jak inni może nie mieć dobrej odpowiedzi na ciężar jaki na jego barki spada. A wystarczy czasem podjąć trud zakorzenienia się, choćby na chwilę w losie drugiego, aby się okazało, że można sobie z przekleństwem losu poradzić, albo choćby poczuć wspólnotę w beznadziei. Zapewne i samobójcom bywa łatwiej umierać, że świadomością, że świat nie ma prawa ich potępić. I że stają się wielcy w swojej tragicznej odmowie zgody na niego.

O zdolności ameby do poczucia tragizmu

Sprawa ameby też wygląda dla mnie inaczej niż sądzą Polemiści. Każdy z nas jest amebą, gdy nie wie, że poza jego lokalną walką o oswojenie swojego zakątka świata jako świata, jest wielkie morze, a nawet niezbadane i niedostępne morza. Każdy człowiek jest amebą, tak jak każdy jest wykorzeniony z kultury poza socjalizacyjnym oswojeniem jakiegoś skrawka swojego bycia, w którym udaje mu się mniej czy lepiej zawrzeć pakt z otoczeniem. Kontakt z dziedzictwem kulturowym nie traktuję jako „zbawiający”, ale jako przekleństwo otwierania oczu na niewygodne komplikacje własnego życia, jako bicz na nasze wygodne iluzje, na podłość naszego oblicza choćby po części uwikłanego w dążenie do zagłuszeń, do tanich satysfakcji i spełnień, które czasem wymagają zabicia innego, a czasem wystarczy masturbacja własnego narcystycznego ego, które swoiście podłechtane nagle obnaży swoje podle nadmiary namiastkowego zadowolenia z siebie. Kierowanie się podłechtaniem bywa częściej podle niż efekt rozkoszy obiecany przez jakąś naszą duchową lechtaczkę czy usilnie masowane pochlebstwami ego.

Jeśli więc ma w grę wchodzić wielkość dzieł, to nie w sensie liryzmu i tanich zachwyków, ale w sensie po części uspakajającej wiadomości: człowiek już tam był, gdzie ja teraz jestem doświadczany, zatem docieram do granic własnego człowieczeństwa, bo staję się świadkiem upadku, jako uczestnikiem przekleństwa bycia człowiekiem, a nie typową społecznie kukłą, lalką, marionetką, pozerem, który nauczył się gry i jej obchodzenia w oświeconym cynizmie. Ludzie łatwiej by (chyba) radzili sobie z losem, gdyby czuli, że należą do wielkiej wspólnoty wyklętych, samotnych, wykluczonych, zapomnianych, zdradzonych, gdyby nie otwierali oczu ze zdziwieniem, że ktoś usiłował ich okraść czy zabić, albo zgwałcić ich minimum poczucia „normy”, ale gdzie człowiek zdziwi się szczęśliwy, że spotkał coś niezwykłego: wielką miłość, którą warto strzec niedowierzając że w ogóle się wydarzyła, czy prawdę jakiegoś istnienia, które poświęciło nam chwilę własnej cennej wrażliwości i wykonało gest prawdy, jakiego nie spotkamy od wielu.

Chyba moi znakomici, głośno myślący polemiści, wypróbujący skalę mojej uczciwości intelektualnej, za co jestem im wdzięczny, zbyt łatwo nie uwierzyli, że mogę coś wiedzieć naprawdę o tragizmie losu ludzkiego, także poprzez chwile upokorzenia i udręki, o której nie wystarczy czytać, ani której oglądanie na płótnach mistrzów czy na filmach naturalizujących wszelki horror nie daje podstaw do zrozumienia co znaczy naprawdę się bać, czuć upadek, czy nędzę. Może jestem za mało ekshibicjonistyczny w odniesieniach do tragizmu losu ludzkiego, przytłaczając akcenty na jego temat zaraz współwystępowaniem ironii, uczącej dystansu i grającej dystansem, bez którego nawet cierpiąc możemy stać się załośni w cierpiętnictwie i zapomnieniu, że to wszystko już było

i nie wyróżnia nas ani o jotę. Nie wiem, jak „kurować” człowieka wpadającego w takie stany, poza tym chyba, że może dotąd jedynie intuicyjnie rozumiejąc potrzebę pedagogiki cierpienia opartej na czymś innym niż współczucie, uznając, że ozdrowieńcza może być dla człowieka pomoc w zobaczeniu, że ktoś już tam gdzie on, czyli na samym dnie, był. Przejmuje mnie odkrycie Tadeusza Różewicza z *Poematu spadanie*, że człowiekowi nie można pokazać, że „spada”, gdyż mu „odjęte jest poczucie dna”, ale można pomóc zobaczyć, że się rozpada, poprzez świadectwo tego, kto o taki rozpad się otarł i umiał się z niego wydobyć. Nie kazałbym zrozpaczonemu czytać coś z moich książek, czy nawet krytyk znakomitych moich Polemistów, ani nie tłumaczyłbym, że jego tragedia to nic specjalnego, ale starał się pomóc dotrzeć do myśli, że każdy koniec świata jest warunkiem narodzin nowego, w którym i my narodzić się musimy. Śmierć jest warunkiem narodzin częściej niż nam się wydaje i nie trzeba być zakładnikiem pychy księży katolickich i ich pozornie uniwersalnego Kościoła, żeby wiedzieć, że „zmartwychwstanie” nie jest jedynie przypowieścią na święta wielkanocne. Filozofia życia nie jest dla mnie do pomyślenia bez rehabilitacji śmierci, życie bez śmierci byłoby okrutne najbardziej jak tylko można to sobie wyobrazić.

Zbawienne schyłanie się po okruchy

Dla mnie zarazem „zbawienie” nie ma posmaku powołania do siedzenia „po prawicy”, po wstąpieniu do „niebios”, ale wiąże się jedynie z decyzją egzystencjalną próby przetrwania jeszcze jednego dnia życia, podjęcia jeszcze jednej próby zrobienia czegoś, co normalnie nie tworzy problemów, a dla bliskiego samobójstwa staje się czymś niewyobrażalnie trudnym. Wielkie idee nie służą ustanawianiu „właściwego trybu” bycia człowiekiem, jak to chciała pyszna tradycja niektórych myśli, ale pomocy w zrozumieniu właściwego... człowiekowi trudu zmagania się z jego przekleństwem, tym bardziej absurdalnym, że większość ludzi robiących kariery, urządzających się, uczestniczących zawodowo w „rytualizowaniu pozorów”, jak nazywał to Bourdieu, może co najwyżej wrzucić ramionami na wszelki patos. Poza tym za dużo już odczytałem się o kiczu, aby nie wiedzieć, że kicz to także fałszywy patos, gdzie dążenie do uwznioślenia zawsze może zdegradować dążącego i jego samo dążenie. Bliskie dlatego jest mi przestrzeganie przez młodych genialnych duchem krytyków przed „odrealnieniem” wyobrażeń o życiu, ale to odrealnienie czyha na nas nieustannie, gdy za mało zostaliśmy doświadczeni przez los. Stąd Nietzsche mógł życzyć najbliższym wszelkich najgorszych... prób, którym jeszcze jakimś skrawkiem woli czy siły ducha uda się sprostać. Bez tego wszelkie wypowiedzianie się o życiu jest niemal zbrodnią, a przynajmniej żalonym przejawem małości pysznego duchem. A ja

przynajmniej próbuję sięgać po wątki nader kontrowersyjne, czy podejrzane („temat autorytetu jest niemodny”, a nawet przestarzały).

* * *

Z pokorą przyjmuję celną zapewne krytykę sugerującą, że w moich tekstach daje o sobie znać ciężkość stylu misyjnego, kogoś, kto chce „zbawiać” świat, bez lekkości bezinteresownego, nie goniącego za zyskiem czytania i bycia „barbarzyńcy w ogrodzie”, genialnie przecież diagnozowanego przez Zbigniewa Herberta. Ulżyłoby mi nieco, gdyby i Hegel, czy jego przenikliwi czytelnicy też tak się narazili Znakomitym Kolegom. Rzecz tylko w tym, że uderzają mnie między oczy zwykle przejawy mądrości, daleko wykraczającej poza moje umiejętności duchowe i dzieje się dalej już samo to wyłapywanie „perł myślowych”, które wcale nie tyle służą czemuś, ile uczestniczą w budowaniu niemal automatycznym alternatywy myślowej dla obiegowych w naszych narracjach sposobów widzenia i problematyzowania rozmaitych kwestii ważnych profesjonalnie.

Nie jest to zapewne czysta „jouissance”, a jedynie przekształcanie ducha w zakresie minimum sycenia się znaczeniami, zakorzeniania w tropach pozostawionych przez genialnych autorów, którzy dają do ręki narzędzia, wręcz oręż do mówienia dzięki tej cudzej mowie już dalej „własnym” językiem, z trudem hamującym złość, a nawet wściekłość na tych, którzy tu nie umieją się zakorzenić, a mają dobre samopoczucie. Więc jeśli się nie zabawiam bezinteresownie, to nie dlatego, że aż zbawiam świat, ile ponieważ mam poczucie ciągle narastające, że wybawiam się z zaległości w chłonięciu świata duchowego, jak też wywabiam białe plamy w horyzoncie myśli, która mogłaby uczynić nasze peregrynacje już czysto profesjonalne w kategoriach dyskursu akademickiego znacznie bardziej szlachetnymi i pełnymi wirtuozerii. Dla mnie ironia jest, jak także podkreśla to Maria Janion, znacznie bliższa tragiczności, niż lekkiemu dystansowi estetyzacji, jako że w szczególności to ironia losu znaczeń kulturowych niesie niemal automatycznie i to, że to, na czym nam najbardziej zależy staje się najtrudniejsze do przekazania i odbioru i każdego kto wyczuje lub podejrzewa sztuczność patosu, fałsz uwznioślenia, kicz sentymentalnego moralizatorstwa. Nie chciałbym w takie stany wpadać, ani być w nich umieszczany. Dlatego między innymi przemówiło do mnie odkrycie, inspirowane Heideggerem, że autorytet czy wartości mamy zawsze pod stopami, łatwiej jest je deptać, nawet zdeptywać, niż się po nie schylić, ale jak już się człowiek schyli to daje mu to impuls do wyprostowania się w obliczu szyderczej albo cynicznej rytualizacji pozorów, gdzie czas marny spełnia się w żalostnej nieświadomości własnego upadku.

Wściekłość i karnawał wobec „czasu marnego”

Wiem zarazem, że mówiąc o sprawach ważnych, wręcz kardynalnych, łatwo zarazem popełniać kardynalne błędy w zakresie nadmiaru poważnych gestów, które upadną jeszcze łatwiej pod ciężarem własnej nieadekwatnej nadmiarowości. Jest to typowa pułapka uniemożliwiająca wpływ, w której sami kreujemy niemożliwość własnego znaczenia. Będąc wściekłym na wiele przejawów życia akademickiego uchodzących za normę środowiskową, bywam wściekły na siebie, że ułatwiam czasem postawę moim krytykom, nie kryjąc się na pozornym obiektywizmem narracji pozbawionej jawnej osobistej emocji. Mam jednak nadzieję jeszcze się trochę w życiu nauczyć od lepszych od siebie, których chłonę nie bezinteresownie. A moja rozkosz duchowa cierpi zapewne na przeintelektualizowaniu radości z obcowania z zaskakującą wielkością ducha, z racji poczucia uczestnictwa w dramatycznej próbie sił na progu zapaści kulturowej świata, w którym zaczynają rządzić przejawy terroru daleko odcinającego się od wszelkiego wyrafinowania myślowego, bo jest ono niewygodne i zbędne dla robienia kariery, dla uczestnictwa w grze, która przestaje być „grą na serio”, bez czego nie ma kultury. Bo nawet karnawalizacja, jeśli nie jest ułomna, uczestniczy w oczyszczaniu powagi i jej umocnieniu przez przejście czyścica pełnego śmiechu, a nie zabija pogardą czy szyderstwem. Pora zapewne dostrzec, że inaczej musi wyglądać narracja, zdobywająca się na odwagę zadania trawestacji pytania Hölderlina: „Cóż po pamięci symbolicznej w czasie marnym?”, czy „Cóż po trosce etycznej w czasie marnym?”. Adorno musi dla wielu wyglądać żałośnie gdy kojarzy Holokaust z końcem prawa (moralnego) poezji do liryzmu w sprawach ludzkich. Ale o ile uboższa by była nasza czujność na nieludzkie zdolności człowieka do gotowania losu innym, nawet niegodne zwierząt. Na drugim końcu spektrum skojarzeń tu kluczowych, nie ulegam perswazji tych, którzy sądzą, że w świecie obecnej fazy „nowoczesności” istnieją tylko ludzie robiący „karierę geniuszy”, a nie genialne przejawy ludzkiego ducha, wynoszące nas, jeśli je chłonimy poza i ponad siebie samych.

Między nostalgią i barbarzyństwem

Nie wiem, czy naprawdę żywie przypisywaną mi „nostalgię” za rzekomo „ukochanym”, zbędnie uwznioślonym dziedzictwem symbolicznym kultury, bez znajomości mechanizmów mediatyzacji, skoro dość dobrze zdaję sobie sprawę, np. patrząc na światek akademicki, że to dziedzictwo, gdy do niego dotrzeć odsłania jedynie to, co trudniejsze, gorsze, o większym stopniu wyzwania (złożoności zamiast prostoty, ambiwalencji zamiast pewności, małości i ograniczeń w każdej

próbie wywyższenia). Polemiści także zbyt pośpiesznie chyba nie doczytali moich uwag, skoro przypisują mi pośpiech w trybie przyswajania „fast text” jako *fast food* z Ortegą y Gassetem, sugerując że nie wiem, że człowiek masowy daje o sobie znać przede wszystkim jako zagrożenie kulturowe nie w masowych pochodach barbarzyńców umysłowych, ale w pionowych awansach wykorzystujących gry salonowe i tą elitarną rzekomo stronę katedr uniwersyteckich, gdzie mogą królować barbarzyńcy kultywujący swój potencjał półinteligentów i ćwierćinteligentów jako normę przeciętności zadowolonej z siebie i bardziej niebezpiecznej od analfabetów, na co uczulali już Adorno i Horkheimer w *Dialektyce oświecenia*. Człowiek masowy w poważnym sensie zatem jest dla mnie nie tyle wytworem nowoczesności, ile jej półproduktem co najwyżej, produktem ubocznym, odpryskiem nieudanych procesów już nawet nie transmisji tradycji czy jej danych, ale aranżowania spotkania z jej przejawami.

Nie lekceważę emancypacyjnego potencjału kultury masowej, skoro zło widzę bardziej celnie obnażane na salonach, a nie na ulicach, a przynajmniej jak chciał autor *Buntu mas po obu stronach* katedr uniwersyteckich. Wystarczy mi pamiętać, że nowoczesność, jak każde narzędzie kulturowe jest obosieczna, zdradliwa i tylko dzięki temu ma potencjał ratunkowy. Mechanizmy naprawdę niosące potencjał rozwojowy są tym bardziej niebezpieczne rozwojowo, tak jak energią atomową można oświetlić miasto i ułatwić życie milionom albo je unicestwić oślepiającym błyskiem bomby jądrowej. Stąd nie należę do rzeczników żadnej recepty ani zbawiennej siły, wszędzie widziałbym zdradliwość i pułapkę wpisaną w groźbę ześlizgiwania się w swoje przeciwieństwo. Robi się z tego nawet przekleństwo, jeśli nie obsesja. Zbyt dużo też nazytałem się i namyślałem nad Baumanem, żeby mu przyznać rację w kwestii jakiejś rzekomej „kompulsywnej modernizacji” jaką ten widzi i za co jest chwalony przez moich Zankomitych Rozmówców. Wolę jednak już czujność Stefana Morawskiego, dla którego np. komunizm i jego wcielenie rzekomego socjalizmu był kontrkulturowym i kontrnowoczesnym eksperymentem na życiu milionów, z wykorzystaniem, czyli typowym nadużyciem nowego potencjału techniki, oraz popadnięcia w zbiorową amnezję, oraz nadzieję niesioną przez groźne utopie i żywioną przez masy niemniej dalekie od nowoczesności i jeszcze bardziej swoim uleganiem utopii od niej się oddalające.

Pochwała cudzej mowy:
poza elitaryzmem i barbarzyństwem

Co do kwestii czytania, jako nadmiernie elitarystycznej wizji kultury, to chcę tylko zauważyć, że jeśli nie ulegać wizji platońskiej w przypisywaniu człowiekowi nieśmiertelnej duszy, w której wiedza a tym język są uśpione i czekają

przebudzenie, to pozostaje jako alternatywa wobec w tej wersji filozofii odpowiedzi na pytanie skąd mały Jasio ma mówić „własnym językiem” wskazanie na konieczność, uznaną przez semiotykę Bachtinowską, nasycania się „cudzą mową”. Tą ostatnią uzyskuje się w socjalizacyjnym „wirze redukcji kulturowej” danego miejsca, jak wiedział Kundera, można ją też uzyskiwać dzięki kontaktom z Innym, czy dzięki otwartym bibliotekom świata, czy każdego pomniejszego rezerwuaru znaczeń i symboli. Oczywiście więc, byłoby błędem ograniczanie generatorów „cudzej mowy” do jakiegoś kanonicznego zestawu mediów (np. podręczników, arcydzieł, czy instytucji jak rodzina, szkoła czy kościół), zresztą w dobie internetu i globalizacji oraz presji grup rówieśniczych taka redukcja cudzej mowy jest niemożliwa. Jednak zasada przetwarzania cudzej mowy jako warunku uzyskiwania dostępu do własnego zestawu pojmowania i widzenia świata (także własnych przeżyć) pozostaje nienaruszona. Jeśli dopuścić otwarcie przestrzeni dziedzictwa symbolicznego, z której mogą się rekrutować środki wyrazu i przechodzić poprzez cudzą mowę do własnego języka i własnego spojrzenia i pojmowania to pytanie o to, skąd wziąć środki by odczytywać znaczenia ustępuje wagą samemu rozumieniu skazania na czytanie, nieważne czy z ulicy, ze śmietnika, czy medialnego tygla. Jeśli z Olimpu nie widać błota ulic Panowie, to nie wysyłajcie mnie na Olimp, bo ja podobnie jak wy doceniam prawdę wpisaną w Baudelaire’owskie widzenie świata z poziomu paryskiego bruku i przemawia do mnie *Modlitwa do Szatana*, jako pozwalająca zrozumieć i wyrazić to, jak bardzo upadłemu człowiekowi blisko do upadłego anioła zamiast do deklarującego miłość Boga i jego moralizatorskich rzczynek. Zachodzę w głowę, powiem szczerze, dlaczego jest mi na siłę przypisywana „elitystyczna koncepcja kultury”, podczas gdy to tylko elementarna wizja tego, jak bardzo zanurzone w kulturze jest najbardziej nawet podstawowe jądro naszych zdolności rozumienia i wyrażania siebie samych. Pytanie dotyczy nie tego, skąd coś przybywa, ale jak bardzo dociera do odbiorcy, poruszając go, nasycając realnie, a nie pozornie dawką możliwości pojęcia i refleksyjnego odniesienia do siebie poprzez różne zapośredniczenia.

* * *

Nie bardzo mam poczucie, że wystarczy objaśnianie świata, w którym rzekomo kultura ma się nienajgorzej. Zarazem nie jest możliwa postawa postulowania zmiany, skoro w miejscach dla niej niewrażliwych (uczelnie, parlamenty, ministerstwa) tkwią już „pionowi barbarzyńcy” Ortegi y Gassetta, czy zadowoleni z siebie cyniczni półinteligenci, którzy gotują los narcystycznym i niepełnosprawnym kulturowo konsumentom, nieświadomym jakie rytuały degradacji własnego ducha sami sobie szykują i pozwalają sobie wmówić (np. kretyńską opowieścią, że uni-

wersytet służy do przygotowania do jakiegoś zawodu na rynku pracy). Pytanie Kundery, które przypomniała Maria Janion: „Czy będziesz wiedział co przeżyłeś?” nabiera najbardziej dramatycznego znaczenia, gdy wiadomo, że nie chodzi nawet o spotkanie z dylematami Hamleta czy z pułapkami Odyseusza, ale ze zdolnością ogarnięcia własnych pragnień i wykroczenia poza własne ograniczenia. Samo to, że uczelnie dają i dały sobie wmówić, że funkcją edukacji jest przygotowanie do rynku pracy dowodzi naszego upadku intelektualnego i degradacji funkcji kulturowej edukacji wyższej, związanej z dopełnianiem aktu narodzin o narodzinny wyobraźni, wrażliwości, symbolicznego bogactwa wyrażania siebie poprzez zakorzenienie w cudzym słowie (może być z filmów, kultowych ballad Dylana czy rapu, byle tym ludzie umieli się posłużyć dla samych siebie). Tymczasem narastający terror przeciętności, domagającej się równoprawnego traktowania w instytucjach kultury, przy zachowaniu zdegradowanych wyróżników pozycji, np. w postaci nędznych habilitacji, robionych gdzieś tam pokątnie po słowackiej stronie, czy występowania z brakiem wstydu i zażenowania w tych samych aulach uniwersyteckich, gdzie normalnie byłoby miejsce jedynie dla wirtuozów i na koncerty dające przeżycie i szanse obcowania z czymś życiodajnym – to wszystko staje się normą, której uznanie za patologię budzi już tylko niesmak lub wzruszenie ramion. Albo jak chcą moi Szanowni Polemiści skojarzenie z elitaryzmem, elityzmem, czy inną fanaberią, którą „normalni” wcale nie muszą się przejmować. Tymczasem owi „normalni” pozbawieni troski o własne „człowieczeństwo” nawet nie wiedzą, co ten termin może znaczyć i jakie możliwości ucieleśniania człowieka niesie, a w konsekwencji uruchamia się mechanizm bycia zakładnikiem tego, co najbliższe, najprostsze, najtańsze, najpłytsze. I nie chodzi o to, aby tego ktoś miał zakazać, ale o to, że jeśli już bawimy się w uniwersytet, jeśli jeszcze szcążkowo pamiętamy o kulturze to wystarczy przynajmniej zadać pytanie o to, czy tak być musi, albo co jest za tym murem, czy po drugiej stronie lustra. Choćby z listy pytań Małego Księcia, Alicji z Krainy Czarów. Edukacja, wpisana w minimalnym choćby stopniu w sens podstawowy jej funkcji, co do której jakieś porozumienie trwało przez wieki, to proces, gdzie realne kształcenie oznacza impulsy docierające w trybie przekształcenia jednostki, choćby tylko pokazującego fragment świata wcześniej nie mieszczący nam się w głowie, a potem taki, który by sam do głowy nie przyszedł, a raz spotkany potrafi przebudzić, poruszyć, ożywić, wyzwolić ze stanu lunatyka, czy jednostki mającej zasłoniętą własną kondycję, wyparte doświadczenia i niosącą własną arogancją i ślepotą zagrożenia dla innych.

Mylą się Szanowni Koledzy przypisując mi zakopanie się w mądrych księgach i złożenie na tych, którzy tego nie potrafią, choć stoją po stronie Paula Ricoeura w jego dramatycznej odpowiedzi na arogancję studentów z marca 1968 roku, że ma prawo do nich mówić, bo przeczytał więcej od nich książek. Oczywiście, trzeba

umieć sięgnąć choćby po wnioski z *Matrixa*, a przynajmniej po to, co się w nim dzieje i czego rozumienie niesie odkrycie choćby o centymetr nowych pokładów własnej wyobraźni. W poezji mamy przykłady mówienia najprościej o rzeczach dramatycznie poważnych, nie jest nigdy jasne gdzie znajdziemy życiodajną perłę myślową, którą warto się przejąć, o nią wzbogacić i zrobić dzięki niej coś innego, niż bez niej. Tymczasem oczywiście staram się uderzać (bez poczucia szans na sukces) w najbliższe moje otoczenie, czyli światek akademicki polskiej pedagogiki, aby choć trochę zablokować łatwość cynicznej gry w pozory, w jałowość i rytuały władcze. Stąd zdziwią się Panowie moją najnowszą książką gdzie na prawie 800 stronach pokazuję minimum tego, co można wyczytać dla nowej epoki z poważnie potraktowanego dorobku pedagogiki międzywojennej, przesłoniętej następnie przez dekady nie tylko doktrynerstwem ideologicznym ale i zwykłym lenistwem umysłowym i brakiem gotowości do traktowania przeszłości na serio. Cóż to za wielkie wymagania? Gdzie tu wieża z kości słoniowej, albo jakieś zamknięcie? Chodzi wręcz przeciwnie o otwarcie, o przewietrzenie zamkniętych pomieszczeń, o świeży oddech i powiew powietrza. Za mało konkretnie potrafimy patrzeć na to, jak rozmaite liberalnie afirmowane równoprawności sankcjonują najgorsze cechy ludzkie, znane od dawna, a teraz obrastające znanymi wyrafinowaniami oświeconego cynizmu.

Tradycja i postęp nad przepaścią

Nie chodzi o „powrót do tradycji” i jej skarbów w prymitywnie kojarzonym duchu starego konserwatyizmu (zresztą nie chcę tego zarzutu przypisywać moim dyskutantom, ale chcę wyostrzyć zasadniczą różnicę w moim podejściu do tradycji). Tradycja nie jest ani ponad naszymi głowami, ani gdzieś daleko z tyłu, ani tym bardziej nie majaczy w dali jako przyszły punkt odniesienia dla erudycyjnych przywołań. Ona zawsze leży u naszych stóp, na wyciągnięcie ręki. Możemy się po nią schylić by podnieść z ziemi jakiś fragment zbitego lustra, pamiętając jeszcze skrawek losu ludzkiego, często o dziwo nam bliski, jak gdyby to było o nas. Możemy też wdeptać ją butami w błoto, możemy w pośpiechu pogoni za jakąś błyskotką, kuszącą medialnie, nie zauważyć, że stąpamy po cmentarzysku, czy po wysypisku skarbów, zwykle widząc tu raczej śmietnik już przestarzałych świadectw innego świata. Ale właśnie nasza bezradność w zmierzaniu się z tą przestrzenią dyskwalifikuje nas gdy okaże się, że to nasza pycha, „niedocześnie” – jak to strasznie zapewne określił psycholog humanistyczny Kazimierz Obuchowski – skazuje nas na uczestnictwo w świecie który coraz bardziej zapomina o tym, czym człowiek może różnić się od zwierzęcia. I trzeba było aż przenikliwości Wisławy Szymborskiej, która w wierszu *Pochwała złego*

mniemania o sobie uczuła, że „nic bardziej zwierzęcego niż czyste sumienie na trzeciej planecie od Słońca”. A tu nawet nie możemy powiedzieć, że grozi nam zezwierzęcenie świata ludzkiego, bo obrazimy zwierzęta.

W związku z tym podkreśliły, że spór może dotyczyć już choćby tego, czy z „postępem” nowoczesności, który głoszą moi Znakomici Adwersarze, rzeczywiście mamy do czynienia. Doszedłszy na skraj przepaści nie należy się specjalnie dopingować do jeszcze jednego kroku „do przodu”. A przynajmniej o to właśnie się toczy spór. Wolałbym przyłączyć się do tych, którzy widząc upadek idei postępu raczej skupili się na trosce o to, jak rozpoznawać złożoności własnego bycia w świecie, własnego świata i siebie samego, jeśli jeszcze nasza pycha *homo sapiens* ma mieć jakikolwiek sens, poza jeszcze jednym snem pełnym zgubnej pychy i głupoty. Od dawna wiemy (Hölderlin) o wpadnięciu w pułapkę „czasu marnego”, jako „zmarniającej egzystencji”, którą można sobie wzajemnie pomagać zobaczyć (nie zaś pysznie pokazywać) i zachęcać do namysłu co z tym zrobić. Moje doświadczenie akademickie uczy, że łatwiej jest czasem przebudzić nieoczytanego studenta i zachęcić go do sięgnięcia do nowego świata myśli, niż zdemoralizowanego swoją karierą profesora, który już dawno nie musi wyjść poza swoje ramy, jakie dały mu bezkarność w byciu tylko sobą w poczuciu wyższości, której nic już nie naruszy.

Kolorowy ptak czy strażnik braku?

Nie bardzo odpowiada mi też nadmiernie uszlachetniająca i sentymentalizująca mnie wizja „kolorowego ptaka” w usychającym ogrodzie, który wzdycha do świata przeszłości w duchu konserwatywnej obrazu na „nowe” i „nowoczesne”. I to nie dlatego, że znając ilustracje z Jerzego Kosińskiego, czy z Witolda Gombrowicza można tu widzieć możliwość by, polec jako ofiara dorabiania gęby i odstawania od „normy”. Powtórzę, że przejmuję mnie obraz tego, że stąpamy po terenie, w którym miesza się śmietnik z cmentarzyskiem, pełnym skrawków stłuczonego lustra i powyrywanych fragmentów rozmaitych dzieł i obiektów, w tym „ready-made” albo „niższej rangi” jak u Warhola albo Kantora, i z własnej głupoty, nędzy duchowej, albo przynajmniej wygody, czy iluzorycznej wyższości nie umiemy się po nie schylić, wygrzebać i zestawić ze sobą, jako ogniwa naszego „skarbcza znaczących” (za Jacquesem Lacan), czy sznuru „szklanych paciorków” (za Hermannem Hesse), które uwewnętrznione zaczynają stanowić o naszym nie tylko bogactwie duchowym i zakorzenieniu w dziedzictwie ale po prostu i bardzo przyziemnie o naszym dysponowaniu językiem, rozwijaniu spojrzenia, wyrażaniu siebie i rozumieniu innych. Zawsze tu chodzi nie o elitaryzm i egzotyczność kolorowego ptaka, ale o zwykłe ludzkie dopełnianie aktu narodzin,

wymagające kształtowania wrażliwości, wyobraźni, sięgania nie pod niebiosa, ale do stóp. Ingarden sugerował w *Księżeczce o człowieku*, że musimy umieć doskoczyć do wartości ponad poziom przyrodniczości do świata kultury, bo tylko poprzez pomniki kultury możemy opierać się upływowi czasu. Mi natomiast bardziej odpowiada perspektywa rozumienia uczulająca na to, że wartości mamy na wyciągnięcie ręki i stóp, a opieranie się upływowi czasu daje się uzyskać pielęgnując to, co inaczej upływowi czasu się nie oprze. Tak jak pamięć o nas, gdy umieramy czy stajemy się bez znaczenia. Właśnie skrawki, strzępki, fragmenty, rozsypane w chaos i bezład perły czy skarby czy ich resztki po ich obróbce przez „fachowców”, pojedyncze słowa, zdania, myśli, marnotrawione, także jako treści wynoszone wcześniej na pomniki, czy wpisywane w podręczniki i ich redukcyjne praktyki, to jest krajobraz po bitwach, jakie o kulturę i z kulturą muszą się toczyć. Konserwatyzm bywa najgorszej maści, zabijając na głucho dostęp do treści, które grożą jego demystyfikacją, tak jak i liberalne panoszenie się cynicznych narcyzów prowadzi do lekceważenia sobie szans spotkań kulturowych za cenę wysiłku. Wreszcie, nie wolno zapomnieć, że krajobraz po bitwie z poranionymi, porozbijanymi bytami kulturowymi przyniosła nam ideologiczna tępota namaszczonej przez marksizm, czy uskrzydłych prawem do nieodpowiedzialności przez prymitywizowany postmodernizm, arogancką analityczność czy troskę o „czystość” tradycyjnych tropów. Osobno trzeba umieć odratować do nowego spotkania byty kulturowe zniszczone wykładnikami szkolarskimi i demoralizującymi kluczami interpretacyjnymi obwarowanymi kanonami lektur i martwych recytacji skojarzeń bez znaczenia. Nie chodzi tu więc o sytuację narcystycznego, kolorowego ptaka, ale o pokornego „strażnika braku”, żywiącego się skrawkami duchowej strawy i dzielącego tym, co go poruszyło, z tymi, którzy mogą nawet nie wiedzieć, że tego im właśnie trzeba. Wpływ nie ma tu polegać na przymusie, czy uznaniu automatyzmu, ale na ryzykownym i łatwym do odrzucenia zachęcaniu do pokazania – ale na własnym przykładzie, a nie gołosłownie – jak to działa i jaką ulgę myślową przynosi.

Zakończenie. Edukacja jako bitwa o zwykłego człowieka

Bitwa o kulturę to jest bitwa o człowieka, nie jakiegoś wielkiego, wyjątkowego i uwznioślanego, ale konkretnego, przeciętnego, każdego, by nie dał się zabić przez własne wygodnictwo, lenistwo umysłowe, wykorzenienie z pamięci symbolicznej skłonność do demoralizujących osiągnięć jako pokłosa łatwizny zaliczeń, socjalizacyjnych drabin do kariery, wystarczalności ćwierćinteligentkich manier obnoszenia się z przeciętnością i masowej pogardy wobec lepszych od siebie. Jest to bitwa o wpływ duchowy, która wymaga dostępu do znaczeń, do przeżyć,

do refleksji, do słów i gestów, które zapewne już bezpowrotnie zostały rozsypane po wcześniejszych polach bitewnych, rozgrabione, rozdziobane. To jest świat gdzie rządzą lokalni *Ubu króle*, i wtórują im ich szambelani i wasale. I to jest nasza rzekoma nowoczesność, której degradacji nie potrafimy dostrzec. Nie jest nigdy jasne, co komu pomoże przejrzeć na oczy. Jednemu pomogą szczątki Hamleta w nowym opakowaniu Szekspira, innemu film Szulkina, jako ograniczona adaptacja genialnej intuicji Alfreda Jarry'ego, komuś jeszcze poezja Szymborskiej, albo mistrzostwo cyrkowe, czy wirtuozeria gry na jakimś instrumencie. Kultura umiera w świecie, gdzie rządzi przeciętność, brak wysiłku duchowego, pogarda dla wielkości i dominacja jakiejś redukcyjnej prawdy. Śmierć kultury grozi nam naprawdę, bo nawet obserwujemy jej agonię, radosną dla psychy.